

Mateusz Matyszkowicz: Słuszność publicysty

A co będzie, jeśli w imię rzeczywistości, w imię przywiązania do metafizyki, do istnienia i nieistnienia, postanowimy być niesłuszni i niepiękni? Jeśli przed etyką postawimy metafizykę?



A co będzie, jeśli w imię rzeczywistości, w imię przywiązania do metafizyki, do istnienia i nieistnienia, postanowimy być niesłuszni i niepiękni? Jeśli przed etyką postawimy metafizykę?

Jednym z najczęściej formułowanych postulatów względem publicystyki jest jej słusność. Publicystyka – jak się teraz powtarza, myśli, podświadomie żąda – ma być słuszna. A zatem nasze słowa, obrazy, które kreślimy, argumenty przez nas formułowane – to wszystko ma mieć jakąś zewnętrzną miarę. Dopasowanie do tej miary, wpisanie się w ramy, jakie ona wyznacza, to wszystko służy do oceny poziomu słusności.

Czym jest ten punkt, trudno określić. Z pewnością nie jest nim rzeczywistość sama, a kryterium, które się stosuje, mało ma wspólnego z klasycznym kryterium prawdy. Czymże jest zgodność myśli z rzeczywistością, skoro rzeczywistość została zagubiona, skoro trudno o niej cokolwiek powiedzieć, skoro pozostaje nam tylko to zbiorowisko sądów, które nazywamy publicznym dyskursem?

Z tego dyskursu wyparowała metafizyka. Twarde sądy o istnieniu, orzekanie istnienia bądź nieistnienia, zachodzenia bądź niezachodzenia stanów rzeczy – te sądy są pozbawione wartości, bo nie przydają się w ocenianiu słuszności wypowiedzi.

O słuszności mówimy wtedy, gdy dokonujemy moralnej oceny zachowań. Słuszna może być postawa moralna, słuszne są sądy moralne. Nie chodzi nam o prawdę, ale o właściwy stosunek.

Publicystów dzielimy zatem na słusznych i niesłusznych. A co za tym idzie, moralnych i niemoralnych. Kiedy są moralni, formułują słuszne sądy i zajmują właściwe z naszego punktu widzenia stanowisko bojowe. Kiedy są niemoralni, sprzedajni, zaprzędani, formułują sądy niesłuszne i przechodzą na drugą stronę. Ich wypowiedzi właściwie pozbawione są znaczenia – jeśli znaczenie rozumiemy w sensie klasycznym, przez odniesienie do rzeczy.

Taka postawa bardzo ułatwia uprawianie publicystyki, zwłaszcza, że pomiędzy słusznością a pięknnością zachodzi intuicyjny związek. Kto powie słusznie, ten powie pięknie. Kto zajmie słuszną postawę, ten

będzie pięknie się prowadził. Jedni nas swoim pięknem wzruszą, inni będą budzić wstręt swoją niesłuszną brzydotą.

A co będzie, jeśli w imię rzeczywistości, w imię przywiązania do metafizyki, do istnienia i nieistnienia, postanowimy być niesłusni i niepiękni? Jeśli przed etyką postawimy metafizykę?

Wtedy, po pierwsze, dokonamy odpolitycznienia publicystyki. Odpolitycznienie nie będzie jednak w tym wypadku oznaczało braku zainteresowania sprawami publicznymi. To nie będzie oznaczało porzucenia polityki w sensie klasycznym, a jedynie wyłączenie się z politycznego działania, bycie poza praktyką w jej nowoczesnym, pomarksowym sensie. To znaczy, że dla praxis będziemy szukać twardego punktu odniesienia, punktu o wiele dalszego niż sama etyka. Praxis stanie się dla nas czymś zewnętrznym, oglądanym raczej niż stosowanym.

Po drugie, pogodzimy się z sytuacją, w której oprócz słuszności i niesłuszności, a nawet ponad nimi, znajdują się prawda i fałsz. I wtedy wejdziemy na teren niebezpieczny, skoro w polityczności dostęp do prawdy jest ograniczony. Nie wynika to wcale z reglamentowania prawdy w polityce, wąskiego grona osób znających prawdę, wtajemniczonych w sprawy państwa – nie, to ograniczenie jest głębiej, a zarazem bliżej niż sobie wyobrażamy, To ograniczenie tkwi bowiem w naturze nas samych i w naturze polityczności. Tam, gdzie w grę wchodzi ludzka wolność – a polityczność jest najwyższym doczesnym przejawem ludzkiej wolności – a więc tam, gdzie jest polityczność, tam też jest niepewność.

Publicystyka, choć sama nie jest politycznym działaniem, to tego działania dotyczy, opisuje je, odnosi do rzeczywistości. Wszędzie tam jest skazana na konfrontację z ludzką wolnością, multiplikowaną liczbą osób zaangażowanych w politykę. Jest ryzykiem, które należy podjąć bez względu na konsekwencje, które nas dotkną.

Taka postawa tym różni się od rozglądania się na słuszność i moralność sądów, że wiąże się ze znacznie większym ryzykiem ośmieszenia, które przyjdzie w czasie, gdy sama rzeczywistość zweryfikuje nasze sądy. Słuszności się nie weryfikuje, ona jest niezależna od rzeczywistości. Prawda natomiast jest weryfikowalna i od sprawdzenia nie da się tu uciec.

Kiedy poeta żąda od nas, byśmy szli wyprostowani nawet wtedy, gdy zawodzi rozum, czyli nawet wtedy, gdy rzeczywistość przekracza nasze zdolności rozumienia, nie ma na myśli tylko moralnego nieugięcia, ale także wymaga od nas odwagi zachowania otwartych oczu, od początku do samego końca. Otwartych oczu, czyli wyzwolenia się z uprzedzeń, z moralnych przesądów, przekroczenia lęku spojrzenia na prawdę. Cokolwiek ta prawda będzie znaczyć i cokolwiek zobaczymy.

To przekroczenie słuszności, nasz publicystyczny akt wewnętrzny, nasze wyzwolenie się z politycznego filisterstwa i blichtru, który wiąże się z bycia uznanym za przedstawiciela czystych, słusznych i moralnych, ten akt podstawowej niezależności, akt porzucenia politycznej praxis, jedynie to sprawi, że nasze słowa ponownie nabiorą znaczenia.

Polityczna praxis opiera się na ocenie, polityczna praxis opiera się na słuszności, a nie na prawdzie. A jednak ta sfera potrzebuje spojrzenia innego, politycznie źródłowego – tego, które pozwoli zachować jej związek z rzeczywistością.

Być niesłusznym w kraju, gdzie każdy ma swoją słuszność i niemoralnym, gdy wszyscy zdają się od nas żądać moralności. Być człowiekiem z imienia i nazwiska.

Nauczyć się mówić o rzeczywistości, w którą nikt nie wierzy. Samemu w nią wcześniej uwierzyć. Zdobyć się na ten akt najwyższego zaufania względem boskiego stworzenia – zaufania w to, że ono jednak istnieje. Czy to słuszne czy niesłuszne.

+++

Z pozoru to wygląda na akt politycznego manicheizmu, to znaczy przyznania, że cała sfera działania jest skażona, że gdziekolwiek człowiek zadziała, tam wniesie zło i zafałszowanie. Ale jednak manicheizmem nie jest – przeciwnie, stanowi najlepszy sposób na walkę z tą starą herezją.

To właśnie polityczny manicheizm sprawia, że człowiek traci całkowicie zaufanie do rzeczywistości w sposób tak daleki, że przestaje wierzyć w możliwość dokonywania w nią wglądu. Jeśli zaś rzeczywistość nie może

być rozpoznana, niemożliwe jest także adekwatne działanie. Pozostaje wtedy moralność samej postawy, świadectwo, któremu towarzyszy niemoc.

Niemoc w sferze poznawczej musi zakończyć się także niemocą praxis.

Należy tu podkreślić, że problem nie polega na naszych mylnych ocenach rzeczywistości. Błędu, a więc wypowiedania fałszywych zdań o rzeczywistości, nie można uniknąć w polityce. Problem leży natomiast w rezygnacji z prób opisu rzeczywistości – tak jakby ona nie istniała, zaś cały ciężar leżał w naszej moralnej postawie czyli słuszności. A więc jest to rezygnacja z wypowiedania zdań weryfikowalnych za pomocą klasycznego kryterium prawdy. Zatem postawa, którą krytykuję, nie porzuca fałszu. Ona porzuca jednocześnie prawdę i fałsz na rzecz moralnej postawy jednostki.

Oczywiście przeciwstawianie etyki i metafizyki jest czymś niegodnym. Ale trudno tego nie robić w czasie, gdy związek między oboma dziedzinami został rozerwany, gdy metafizyka została zanegowana, a w jej miejsce pojawiła się sama etyka.

Czym jest etyka pozbawiona metafizyki, czym jest postawa moralna oderwana od rzeczywistości, łatwo możemy się przekonać, analizując pojawiające się często argumenty *ad Hitlerum*. Argument *ad Hitlerum*, który polega na zdemonizowaniu postawy moralnej oponenta i wyniesienie się przez to na same szczyty moralności, ten obowiązek

ojczyźniany, który polega na potępieniu bez związku z rzeczywistością, ten rytualny krzyk lub spokojne mantrowanie – to właśnie jest oderwanie postawy moralnej od rzeczywistości.

Słowa, które wypowiada się w tym transie, nie mają znaczenia. Zarówno noc długich noży, jak i dojście Hitlera do władzy, kryształowa noc, podpalenie Reichstagu – żadna z tych fraz nie odnosi się do naszej rzeczywistości. Nie odnosi się do niej także przywoływanie Białorusi. Te zdania są puste – nie służą ani nazwaniu zjawisk politycznych, ani ich rozumieniu. Podobnie przywoływanie Gomułki, Gierka oraz hiszpańskiej inkwizycji.

Kto jednak tej argumentacji nie przyjmuje, krzywi się, grymasi, powątpiewa, ten jest niemoralny, niesłuszny i zachowuje się niepięknie.

+++

Co jednak zobaczymy, gdy wyzwolimy się z tego etycznego terroru? Prawdopodobnie niczego nie zobaczymy – rzeczywistość dawno nie oglądana i nie dogładana wypłowiła, straciła ostrość i wewnętrzne granice. Albo to my sami straciliśmy język, który pomógłby nam uporządkować to, co mogliśmy wiedzieć, gdybyśmy się starali.

Czy istnieje państwo polskie? Prawdopodobnie tak, skoro jesteśmy jego obywatelami, skoro posiada ono władze i ambasady, nawet resztki armii. Ale co my potrafimy o tym państwie powiedzieć? Coś, co wykraczałoby poza etyczną ocenę rządzących i opozycji.

Państwo opiera się na relacjach – jaki one mają charakter, czy są silne, czy słabe? Jakiego są rodzaju? Czy należy je wzmacniać? W jaki sposób? I wreszcie, jaki jest cel tego państwa? Czy wiemy, po co to wszystko? Bo jeśli po nic, to po co się oburzać...

Niezdolność odpowiedzi na te pytania, niezdolność w sferze idei, przekłada się na niezdolność działania. Pokazuje wreszcie prawdziwą skalę zaniedbań ostatnich dwudziestu lat.

I wreszcie sprawa ostatnia. Pytania sformułowane wyżej są pytaniami metafizycznymi, należą do filozofii pierwszej. Arystoteles powiada zaś, że filozofia pierwsza jest nauką dla ludzi wolnych. Czy zatem jesteśmy wystarczająco wolni, by te pytania stawiać i poszukiwać na nie odpowiedzi?

Mateusz Matyszkowicz